

NORWAY 2006

Planowałem wyprawę do Norwegii już prawie od roku. Jak zwykle nikogo nie szukałem do towarzystwa, bo jak to mówią „nic na siłę”. Poza tym już mam dość „męcznienia” się z innymi a również oszczędzam innym mojej osoby. Ale jak to zwykle bywa chętni się znajdują. Jeden chce jechać, drugi rezygnuje.

Ostateczna decyzja zapadła na majowym wypadzie MGH w Gdańsku. Paweł określił się, że jedzie i ustaliliśmy ostateczny termin 27.06–14.07.2006. Dlaczego do piątku? Bo w sobotę Bitwa pod Grunwaldem . Jako, że to mój czwarty wyjazd do Skandynawii Paweł oddał organizację imprezy mojej skromnej osobie.

Nie będę tu się rozpisywał o Norwegii jako o państwie. Pozostawiam to innym. Dla chętnych polecam:

<http://www.visitnorway.com/>

<http://www.norwegia.filo.pl/>

<http://www.amb-norwegia.pl/>

<http://www.norway.no/>

<http://www.norwegia.pl/>

<http://www.forumnorwegia.com/>

Jest pewnie jeszcze masa innych stron, ale polecam <http://www.google.com>

Wiedzę „papierową” można znaleźć w przewodnikach „Pascala”, „Wiedzy i Życia”, „Marco Polo”. Mapa, jedyna i słuszna to wydawnictwo „freitag & berndt” – www.freytagberndt.com do dostania również w polskich księgarniach.

Dodatkowo dla mniej wymagających od noclegów (takich, co nie śpią po hotelach za 100 Euro za dobę) polecam <http://www.nafcampa.com/> ,gdzie za darmochę można otrzymać katalog wraz z mapką i umieszczonymi na niej kempingami w Norwegii zrzeszonymi w organizacji NAF. Oczywiście jest to tylko ułamek wszystkich kempingów, ale zawsze coś.

W tym opisie będę starał się umieszczać ceny w walucie danego kraju a kurs to myślę, że każdy sobie znajdzie. My mieliśmy:

Korona norweska NOK – 0,52 PLN

Korona szwedzka SEK – 0,46 PLN

Euro średnia cena 4,00 PLN

Trasę starałem się taką ustalić, aby Paweł zobaczył jak najwięcej, gdyż jego dewiza to „dwa razy do tego samego kraju nie jadę”. Więc się sprężyłem i wyszło jak wyszło.



Moim celem było pojechanie na „koniec” Europy, oraz wleźć na drugi, co do wysokości szczyt Norwegii – Glittertind (2464 m.n.p.m.). Najwyższy – Galdhoppigen (2472 m.n.p.m.) zdobyłem w 2004 roku w raz z moją lepszą połową – Luckiem. Koniec Europy to miejsce dosyć umowne. Najpopularniejszym jest Nordkapp znajdujący się na wyspie Mageroya, ale prawdziwym końcem Europy jest Kinnarodden (Nordkinn). Dotarcie do niego wymaga kilkugodzinnej wędrówki z miejscowości Gamvik znajdującej się na półwyspie Nordkinnhalvoya. My z Pawłem jako, że to wyprawa motocyklowa zdecydowaliśmy się na miejsce, do którego prowadzi droga i można tam dojechać motocyklem. To miejscowość Slettnes znajdująca się kilka kilometrów na północ od Gamviku. Znajduje się tam również najdalej wysunięta na północ latarnia morska w Europie.

No, ale dość tego nudnego gadania. W drogę.

27.06.2006 – dzień 1

Po dograniu wszystkich szczegółów związanych ze spaniem, żarciem, paliwem, walutą oraz innymi bardziej lub mniej ważnymi rzeczami umówiliśmy się, że Paweł przyjedzie do mnie do Gdańska 27.06.2006 około godziny 12.00. Bilety na prom z Gdańska do Nynäshamn (Stockholm) kupiłem wcześniej.

Cena na łeb, plus moto, plus kabina wyniosła 660 PLN. Jeżeli chodzi o jedzenie to nauczony doświadczeniem, postanowiliśmy kupić je w Polsce. Zakupy w Makro, zupki, wędliny itp. kosztowały nas po 270 PLN na łeb.

O umówionej godzinie FJR-a Pawła zatrąbiła pod moim domem. Miło było zobaczyć uradowaną gębę Pawła, uściskaliśmy się po męsku i moto zaparkowało w garażu. Z godzinę zajęło nam upakowanie ciuchów, namiotu, materaca, żarcia i innych pierdół do 6 kufrów, w które były zaopatrzone nasze FJR-y.



O godzinie 17.00 maszyny odpalone i skierowaliśmy się do portu skąd o 18.00 odpływał prom. Odprawa paszportowa poza krótkim oczekiwaniem i miłą rozmową z celniczkami niczym specjalnym się nie wyróżniała. Wjechaliśmy na prom i oczywiście niespodzianka.

Byłem przygotowany na wszystkie promy, którymi do tej pory pływałem, ale rejsem do Stocholmu na M/F Scandinavia płynąłem pierwszy raz. Miły pan z obsługi skierował nas do barierki, która wyglądała jak od schodów i rzekł „tu jest miejsce dla waszych motocykli”.

Żadnych mocowań dla pasów, uchwytów, nic podobnego. Perswazja nic nie dała. 40 minut walki z temperaturą, sznurkami, barierką i motocykle stały względnie bezpieczne na promie.

Skierowaliśmy się do naszej kabiny. Jako, że była to kabina DeLux oczekiwaliśmy kabiny DeLux. I tu się nie zawiedliśmy.



Pani w recepcji była dla nas miłsza niż dla innych, a widok przez okno mieliśmy chyba lepszy niż kapitan.

Dwupokojowa kabina z łazienką z dwoma łózkami, sofą, stolikiem i dwoma fotelami to jest to. Dodatkowo telewizor, gdzie mogliśmy spokojnie obejrzeć mistrzostwa świata w piłce nożnej. No i na koniec również w lodówce znalazło się, co nieco do picia. Jednym słowem szacun.

Po obejściu statku, zrobieniu właściwych zakupów w sklepie wolnocłowym, oraz ich spożyciu około 2.00 nad ranem walnęliśmy się spać.

28.06.2006 – dzień 2

Wstaliśmy około 9.00 rano. Jeszcze byliśmy na pełnym morzu. Kąpiel, małe jedzenie i kapitan o 11.00 zameldował, że niebawem będziemy w Szwecji. Okazało się, że nasze motaniny sznurków do barierki zdały egzamin. Motocykle były całe i bezpieczne. Odprawa celna i możemy walić dalej na północ. Dzisiejszy plan mamy ambitny, nie będziemy się szczytać tylko jechać.

Około 100 km dalej łapiemy pierwszy deszczyk. Nie za duży, ale postanowiliśmy stanąć na stacji, zatankować i coś wszamać oraz ubrać się w kondony przeciwdeszczowe. Paweł ma nowe kondony na buty, w których wygląda jak rycerz. Kupa śmiechu.

Na końcu Szwecji łapiemy godzinę 24.00. Słońce świeci, pogoda idealna. Dla Pawła to pierwsze takie doznanie w jego życiu. Tak też zresztą będziemy mieli przez cały wyjazd. O 01.00 w nocy wjeżdżamy do Finlandii.

Oczywiście po granicy została tylko budka z dawnych czasów. Godzinę później jesteśmy na przydrożnym parkingu (tu muszę wtrącić, że w Skandynawii, a w szczególności w Norwegii pod tym pojęciem zazwyczaj ukrywa się wc, czasem prysznic, ławeczki, stoliki, trawka itp.) gdzie postanawiamy się troszkę kimnąć. Jako, że pogoda piękna, nie rozbijamy namiotu tylko materac kładziemy na placu zabaw, jeszcze mała kolacja i spać. Walnęliśmy od momentu zajścia z promu o godzinie 13.00 - 1115 km.



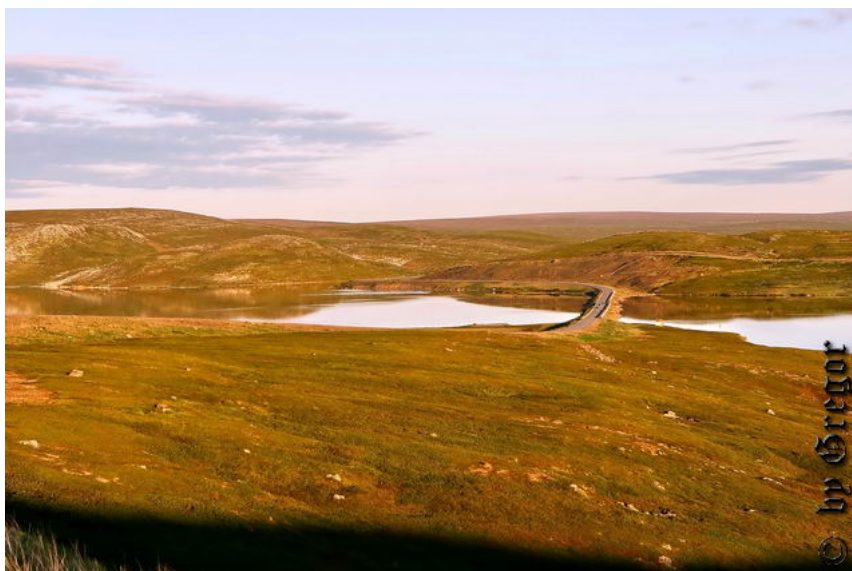
29.06.2006 – dzień 3

Pobudka około 8.00 rano. Jako pierwszy składam Pawłowi życzenia imieninowe. Śniadanie, mycie, spakowanie bambetli i w drogę. Dziś będziemy w Rovaniemi, gdzie odwiedzimy dom Św. Mikołaja (zazwyczaj go nie ma, bo coś ważnego załatwia, ale za to jest w cholerę Niemców), oraz przekroczymy koło podbiegunowe $66^{\circ}33'N$. Obejrzenie zajęło nam niewiele czasu, wszak nie o Mikołaja tu chodzi. Pamiątkowe foty jakaś kawa i w drogę.

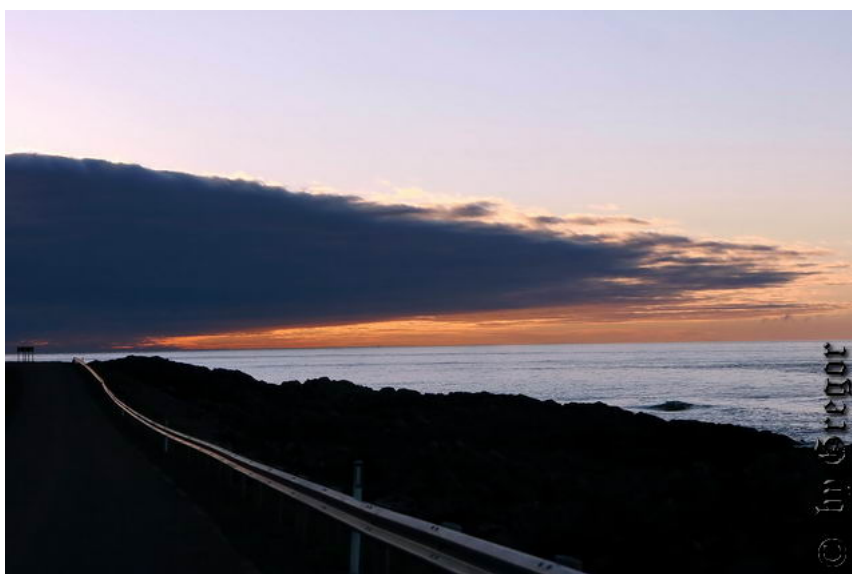
Tu też pojawiają się pierwsze renifery. Paweł lata jak wariat, a ja próbuje zmieścić w kadrze jego i renifera, które wcale tego nie chcą. Po drodze postanawiam się gdzieś wykapać. Wybór pada na parking nad jeziorem. Wybór był idealny, gdyż na parkingu był grill oraz drzewo do niego. Nie wiem, czemu w niektórych krajach może być normalnie. Palenisko było jeszcze ciepłe, więc dorzuciłem parę drew, Paweł z kufra wyjął kabanosy i już mieliśmy jedzonko. W tak zwanym międzyczasie wykąпалиśmy się w przyjaznym fińskim jeziorze.

Dzisiaj zamierzamy dotrzeć do Tana Bru, miejscowości w Norwegii na rozdrożach pomiędzy półwyspami Nordkinnhalvoya a Varangerhalvoya. Dojeżdżamy do granicy norweskiej, tu o przekroczeniu granicy świadczą żółte pasy na drodze. Jeszcze około 100 km i jesteśmy w Tana Bru.

Jedziemy na kemping, gdzie wynajmujemy domek (hytter) za 300 NOK. Z przepastnych kufrów wyciągamy kolację. Po małych ustaleniach, uznajemy, że Paweł woli bardziej jeść niż gotować więc ja gotowałem, a Paweł zmywał. O godzinie 22.00 jakoś nam się nie chciało spać, a pogoda była przepiękna więc za moją sugestią, „jeżeli możesz obejrzyć coś dziś to nie rób tego jutro” wsiedliśmy na maszyny i pojechaliśmy na koniec półwyspu Varangerhalvoya do miejscowości Berlevag. To najbardziej wysunięty punkt tego półwyspu. Krajobrazy przepiękne, cisza, żadnych samochodów, drogi równe i pokręcone.



Nadarza się szansa na obejrzenie zjawiska, które polega na tym, że o godzinie 24.00 słońce jest ponad horyzontem. O 23.30 słońce świeci nam prosto w twarz, aż trudno jechać. W Berlevag jesteśmy o 23.30 i niestety spotkał nas pech. Chmura wielkości statku obcych z „Dnia niepodległości” zasłoniła pół nieba, a wraz z nim również słońce. Pół nieba niebieskie, pół w chmurze.



No trudno. Objeżdżamy spokojnie miasteczko, zero ludzi, wszak to północ, wjeżdżamy motocyklami na ogromny falochron, który chroni to miasto przed surowymi sztormami Morza Północnego. Po godzinie zbieramy się do powrotu. Kładziemy się spać około 3.00 w nocy. Dziś walnęliśmy 945 km.

30.06.2006 – dzień 4

Moja zasada zadziałała. Od rana są chmury i mgły. Nic byśmy dziś nie zobaczyli. Na szczęście nie pada. Kierujemy się w stronę końca Europy. Około godziny 17.00 dojeżdżamy do Kjollefjord. Wpadamy do knajpy gdzie szamiemy hamburgera z frytkami. Poza nami, sami rybacy i jedna kobieta jako kelnerka. Dowiedzieliśmy się, że w mieście mieszka około 300 osób z tego 250 facetów. Niewiadomo czy tym kobietom zazdrościć czy współczuć.

Ale jak to mawia Piocho, pewnie obie wersje są dobre Smile. Zgodnie z naszym planem z Kjollefjordu mamy płynąć promem do Honningsvag, skąd na Nordkapp jest około 40 km. Polecam każdemu tę drogę, gdyż jadąc drogą na Nordkapp trzeba przejechać ponad 400 km i zapłacić za tunel 70 NOK. Szukamy bazy promowej. Ha, baza to kawałek betonu z oponami i budą, który jakiś facet otwiera pół godziny przed przyplynięciem promu.

Trochę jestem zdziwiony, gdyż trasę tę obsługuje linia promowa Hurtigruten <http://www.hurtigruten.com/>, gdzie statki nie należą do najmniejszych. Dla ciekawych; statki Hurtigruten płyną od Bergen do Kirkenes (koło Rosji) w tak zwaną „najpiękniejszą podróż życia”. W ciągu 6 dni, można płynąć z południa na północ lub odwrotnie, zwiedza się Norwegię w portach oraz podziwiając wysepki, cieśniny i fiordy z pokładu statku.

My wybraliśmy jeden odcinek z Kjollefjordu do Honningsvag. Od „obsługi” dowiadujemy się, że żadnej kasy i rezerwacji nie ma, a chłopca z motocyklem to zawsze się wciśnie. Dobrze chociaż, że godzina się nie zmieniła. Mamy startować o 03.30 w nocy, czyli zgodnie z naszymi założeniami zdążymy do Gamviku na zachód słońca i wrócimy na prom. Tankujemy na „wypasionej” stacji benzynowej, ale ma napis „Statoil” więc jakby mniej się boimy i wyruszamy na koniec Europy.



Do Gamviku dojeżdżamy około 20.00. Malutka miejscowość, ale jak to w Skandynawii ładnie utrzymana. Tubylcy witają nas troszkę jak kosmitów, pewnie niewielu tu motocyklistów, ale przyjaźnie machają rękami. Zastanawiam się tylko jak musi się żyć na końcu Europy. Jeden sklep, do szpitala chyba z 1000 km, żadnej rozrywki... nie wiem. Mijamy Gamvik i jedziemy parę kilometrów po żwirze do Slettnes. W oddali widać latarnię morską. Kierujemy się w lewo, drogą do nikąd, ale nawigacja pokazuje, że „tam” będzie najdalej.

Po około 2 kilometrach droga się kończy. Do Morza Północnego zostało z 200 metrów. Od tej pory będziemy już wracać. Warto dodać, że do Bieguna Północnego na Arktyce jest stąd bliżej niż do Gdańska. Uczucie dosyć mistyczne, ale tak właśnie miało być. Nawet na końcu Europy jest stolik i ławka do siedzenia. Rozbieramy się nieco, odpoczniemy tu parę chwil. Grzejemy wodę na kawkę oraz jemy coś z naszych zapasów. Po miłym biesiadowaniu postanawiamy podejść te 200 metrów na koniec lądu. Ponieważ dookoła górki, doliny i pola żadna droga nie wskazuje kierunku.

Ruszamy na azymut, czyli na wprost. Po 100 metrach jakaś mewa, zajebicie wielka, przelatuje mi nad głową. Zdziwiony mówię to Pawłowi. Ale on ma „swojego Hiczkoka”. Po chwili są 4 i normalnie nas atakują. Paweł jako obrońca zwierząt bierze kamienie i „odgania” ptaszyska. Ale nic to nie daje. Po chwili rozumiemy całą sytuację. Kilka metrów od nas siedzi „mama” z młodymi, a te Hiczkoki to straż przyboczna. Zbaczamy z toru 50 metrów, mewy siadają na głazach i tylko na nas patrzą. Docieramy do brzegu. Nawigacja pokazuje 71°05'40"N. Nordkapp ma 71°10'21"N, ale przypominam, że to wyspa. O 23.00

wyuszamy spokojnie na prom. Zajeżdżamy do latarni morskiej, gdzie zdziwiona pani pozwala nam wejść na górę i nie chce żadnych pieniędzy. Normalnie bilet kosztuje 50 NOK. O godzinie 23.45 zatrzymujemy się nad stromym urwiskiem, aby tym razem o północy „spojrzeć słońcu w twarz”. Jest idealnie, niewielkie chmurki ciepło a o 24.00 słońce świeci całą swoją mocą. Chwytny za aparaty i uwieczniamy tę chwilę.



Pięknie. Po upojeniu zmysłów naturą postanawiamy, że nie popłyniemy promem Kjollefjordu do Honningsvåg o 03.30, ale z bliższego nam Mehamn, skąd prom odpływa o 01.30. Ponieważ dzisiejsza noc będzie na promie zawsze to dwie godziny więcej snu. Ku naszemu zdziwieniu nie jesteśmy sami. W porcie jeszcze dwa motocykle, Fin i Norweg. Podpływa wielki statek linii Hurtigruten i sprawnie lądujemy na pokładzie.

Tu widać wiedzą kto to motocyklista, bo motocykle mają specjalne miejsce do parkowania, gdzie można je nieźle zamocować. Mocowanie trwa 5 minut i już jesteśmy w recepcji, gdzie kupujemy bilety. Bilet na twarz, plus moto kosztuje 417 NOK. W Honningsvåg mamy być o 06.15. mamy więc cztery godzinki na sen. Na pokładzie „Panorama” znajdujemy coś na kształt łóżek, gdzie bezproblemowo zasypiamy. Przejechaliśmy dziś 300 km.

01.07.2006 – dzień 5

Pobudka o 06.00. Dopywamy do Honningsvag. Zjeżdżamy na ląd. Tu widać już więcej ludzi. Pojawiają się też motocykle. Nordkapp to w końcu mekka dla motocyklistów. Pomijam fakt słusznie czy nie. Jednak Paweł powiedział, że musi tam być.

Ja byłem z Luckiem w 2004 roku, ale mus to mus . Kierujemy się w stronę Nordkapp. Przed 7.00 rano dojeżdżamy do celu. Ku naszemu zdziwieniu Norwegowie, inaczej niż my, czasem śpią. W budce, gdzie zwykle płaci się za wejście na Nordkapp 197 NOK jest pusto. Nawet Niemców nie ma. Przejeżdżamy pod otwartym szlabanem i szybko zapada decyzja o realizacji czynu niedozwolonego.

Wjeżdżamy motocyklami pod słynny globus symbolizujący Nordkapp. Oczywiście grupa Niemców jest obruszona, ale mamy ich w dupie. W końcu motocyklista bez motocykla jest nikim. 2 minuty dla fotoreporterów. Ustawiamy motocykle, siebie i Niemiec robi nam zdjęcie.



Ku mojemu zdziwieniu robią też inni. Także pojawimy się z Pawłem w wielu Niemieckich domach. Wracamy na parking i postanawiamy coś zjeść. Jak wspomniałem Norwegowie śpią, więc i bar zamknięty. Na szczęście sklep z pamiątkami otwarty, więc coś na pamiątkę kupujemy i po godzinie ruszamy w drogę.

Nasz dzisiejszy cel to miasto Kautokeino, miejsce, gdzie typowy turysta Niemiec nie dojeżdża. Zamieszkują tam i w okolicy rdzenni mieszkańcy – Saamowie. Tu najwięcej można dowiedzieć się o dawnych czasach, zobaczyć na własne oczy jak to drzewiej bywało.

Niektórzy mieszkańcy ubierają się do dzisiaj w tradycyjne stroje. Widzieliśmy nawet jak starsza pani po 80 w ludowym stroju grała w markecie Rema 1000 na jednorękim bandycie. Widok nie do opisania. Szkoda, że nie mieliśmy aparatu.

Droga do Kautokeino przebiegała bez zakłóceń. Tankowanie, jazda, tankowanie, jazda . Na godzinę 17.00 złądownaliśmy na kempingu. Miła pani w regionalnym stroju skasowała nas na 140 NOK za głowę i już rozkładaliśmy się w domku. Po kąpieli ubraliśmy się i pochodziliśmy chwilę po okolicy. Przejechaliśmy dziś 411 km.

02.07.2006 - dzień 6

Ponieważ naszym dalszym celem była południowa Norwegia, więc nie pozostało nam nic innego jak ponawiać trochę kilometrów. Uzgodniliśmy, że pojedziemy na Lofoty. Tajemnicze wyspy, gdzie skały wyrastają z morza. Jak byłem tam pierwszy raz, spodobało mi się.

Plan był taki, że dziś dojedziemy do Narviku a stamtąd następnego dnia na Lofoty i promem znowu na kontynent. Podczas podróży na zakręcie w prawo, podczas mojego wyprzedzania, Niemiec, który nie wiadomo czemu jeszcze podróżuje, postanowił zepchnąć mnie do rowu. Poboczem wyprzedziłem go i groźnie patrzę na kierowcę. Biedak, nawet nie widział, kiedy mu palce pokazywałem. Stwierdziłem, że lepiej nic nie robić, bo coś się stanie. Paweł myślał inaczej niż ja i krótkim ruchem zarąbał mu w lusterko.

Tego typu przygód, mniejszych bądź większych, mieliśmy więcej. Jednak turyści w Skandynawii to głównie emeryci i za kierownicą nie są tacy sprawni a doliczając do nich emerytów z Niemiec - kłopoty dla motocyklistów murowane. Przejeżdżając do Narviku przez Szwecję zajechaliśmy w Kirunie do „Hotelu z Lodu”.

Niestety latem był on pod dachem, ale zawsze coś. Pozbyliśmy się po 100 SEK i pani ubrała nas w futra i oprowadziła po hotelu opowiadając o historii miasta. Na koniec mogliśmy się napić po lodowym drinku „Absoluta” z lodowego kieliszka. Jako poprawni motocykliści – odmówiliśmy.



Walimy dalej. Wjeżdżamy znowu do Norwegii i o godzinie 20.00 lądujemy w domku pod Narvikiem. Kosztowało nas to po 150 NOK. Zgodnie z moim porzekadłem jeszcze tego wieczora pojechaliliśmy do Narviku na małe zwiedzanie.

Jedną z atrakcji turystycznych jest gejzer, który codziennie o godzinie 21.00 przez 15 minut wyrzuca wodę na wysokość 60 metrów. Fakt, wrażenie niesamowite. Wszystko dookoła w wodzie. Pokręciliśmy się do północy po mieście i pojechaliliśmy na kemping. Dzisiejszy dystans to 577 km.

03.07.2006 – dzień 7

Lofoty. Ach te Lofoty. Dobrze, że już je widziałem. Paweł się uparł, że jedziemy to jedziemy. Od rana deszcz i chmury. Na szczęście nie ulewa, ale na całej linii pada. W niebie żadnej dziury. To był nudny dzień. Głównie jazda w deszczu. Z perspektywy czasu stwierdzam, że to najgorszy dzień naszego wypadu.

Naszym celem jest miejscowość „A”. Miejscowość o dosyć krótkiej nazwie znajduje się na południowym końcu Lofotów. Jest w nim muzeum historyczne. Po drodze mijaliśmy również muzeum, Vikingów ale wobec zaistniałej pogody mieliśmy je w nosie. Na szczęście pod wieczór przestało padać, także jak dojechaliśmy do Ł o godzinie 20.00 mogliśmy pozbyć się przeciwdeszczówek. Zwiedziliśmy pobliskie Reine i Hamnoya jako najbardziej typowe miejscowości na Lofotach. Zaczynają się (w mniejszej ilości na północy Norwegii) domy z rosnącą trawą na dachu. Zgodnie z planem o 21.15 mieliśmy prom z Moskenes do Bodo, gdzie mieliśmy przenocować.

Prom kosztował nas 232 NOK za motocykl z kierowcą. O godzinie 00.45 dobiliśmy do Bodo, gdzie musieliśmy zweryfikować nasze plany. O tej godzinie kampingi są nieczynne, to znaczy namiot zawsze można rozbić, ale domku się nie dostanie. Ponieważ byliśmy zbyt leniwi aby rozbijać namiot, a i pola niespecjalnie było widać, postanowiliśmy jechać dalej w kierunku Trondheim. No i jechaliśmy. Zrobiło się troszkę zimniej, przydały się grzane manetki. O godzinie 3.00 w nocy minęliśmy koło podbiegunowe. Można je poznać po budynku w szczerym polu, na którym jest napis „Polarsirkelsenteret”. W nocy było pusto, więc strzeliliśmy po zdjęciu i w drogę. Podczas nocnej jazdy przypomniałem sobie o lodowcu Svartisen koło miejscowości Mo i Rana. Paweł wyraził chęć zobaczenia, więc na stacji benzynowej przy zjeździe do lodowca rozbiliśmy namiot.

Była 5.00 rano i przejechaliśmy 645 km.

04.07.2006 – dzień 8

Tak, to była męcząca noc. Wyglądaliśmy jak lumpy z Centralnego . Wstaliśmy o 9.00 rano. Nienerwowo, bo zmęczenie dawało się we znaki, zjedliśmy śniadanie, małe mycie i zakupy na stacji. Złożyliśmy namiot i... już mieliśmy jechać, ale Paweł posiał kluczyki. Analiza kroków i ruchów nic nie dała. Przeszukałem śmietniki i brzeg jeziora. Zadałem Pawłowi, jak Brunner, kilka kluczowych pytań na temat ostatnich ruchów kluczyków. I nic. Nawet do poszukiwań włączyli się nieopodal spożywający śniadanie Finowie. Kluczyków jak nie było tak nie ma. Kiedy już nadzieja opadła Paweł znalazł. W bucie w nogawce spodni, pomiędzy materiałem a podszewką. Wpadły przez dziurę w kieszeni. Nie wiem po co Pawłowi dziura w kieszeni, ale spytajcie go sami .

Zebraliśmy się do końca i w drogę. 30 km drogi, 5km żwiru, 30min pływnięcia motorówką (50 NOK w jedną stronę od osoby) i prawie dwie godziny marszu. To w skrócie sposób na dostanie się do lodowca Svartisen.

Lodowce mają różne odcienie: niebieskie, białe, zielone. Ten jest biały. Naprawdę duży. Widać tylko sam koniec „jezora”. Dotknąć lodowca niestety się nie dało.



Ośłania go jezioro Svartvatnet. Brakowało kilkudziesięciu metrów. Ale widok i tak oszołamiający. Temperatura spada o kilkanaście stopni, powiewa przyjemny chłód. No, ale trzeba iść, bo kapitan na łodzi nie będzie czekał. Pamiątkowe zdjęcia i z buta w drogę. Kierujemy się w stronę Trondheim. Wiadomo, że nie dojedziemy więc po drodze szukamy spania.

W Norwegii jest ten problem ze spaniem, że po godzinie 18.00 ciężko dostać domek. Co w naszym wykonaniu i przy naszej jeździe jest nie do pomyślenia, aby porzucać maszyny przed 18.00. Na trzecim kempingu, około 25 km za Grong dostajemy domek. Na poprzednim pani żądała 800 NOK za 4 osobowy, bo dwójek nie miała.

Za nocleg płacimy po 150 NOK, czyli normalnie. Jest godzina 21.30 i nakręciliśmy 395 km. Ładne miejsce, kilkunastu motocyklistów, ale nie mamy sił. Idziemy spać. Oczywiście po kolacji.

05.07.2006 – dzień 9

Trochę dłużej pospaliśmy i po zorganizowaniu się około godziny 13.00 dojechaliśmy do Trondheim. Jeżeli się nie mylę to drugie co do wielkości miasto w Norwegii liczące 150 tysięcy mieszkańców. Postanawiamy zwiedzić stare miasto oraz katedrę Nidaros pochodzącą z około 1320 roku, gdzie do dzisiaj koronuje się norweskich królów. Wszamaliśmy Burger Kinga i kołowaliśmy dalej.

Na południe od Trondheim Norwegia staje się bardziej zielona, stroma i ładniejsza. Północ to głównie krajobraz księżycowy, skały, gdzieś zielone plamy mchów. Południe to zielona woda fiordów, strome skały wyrastające z wody oraz niezliczone zakręty, góry i doliny. Prędkość musiała nieco spaść, ale dalej była ponad przepisowa.

W Norwegii na drogach poza terenem zabudowanym można jeździć 80 km/h. W miastach 50 km/h. Jest bardzo dużo radarów, na szczęście oznaczonych, fotografujących z przodu i z tyłu. Będąc na Lofotach wyczytałem na ulotce, nie wiem czy to prawda, że jeżeli przekroczysz prędkość o 6 do 10 km/h to mandat wynosi 1000 NOK. Od 10 do 20 km/h – 2000 NOK. Od 20 do 30 km/h – 4000 NOK. Powyżej 30 km/h nie było już napisane, ale można wnioskować, że konfiskata sprzętu i miesiąc więzienia. Norwegowie stosują się do przepisów prędkościowych w 99,99%.

Dzisiaj mieliśmy w planie dojechać w okolice schroniska Spiterstulen, skąd następnego dnia mieliśmy wyruszyć na zdobycie Glittertindu. Czwarty odwiedzony kemping przywitał nas panem, który pamiętał czasy wojny i mówił, że sklep jest czynny od „ziben”. Pan skasował nas po 140 NOK na głowę. Cieszyliśmy się, że cena rozsądna, ponieważ spędzimy tam dwie noce. Spokojne miejsce, za domkiem wodospad, ładna trawka, słońce świeci. Dojechaliśmy na godzinę 19.00. Zjedliśmy kolację, wykapaliśmy się i pojechaliśmy na przejażdżkę po terenie. Jak wróciliśmy była godzina 23.30, a tego dnia przejechaliśmy 532 km.

06.07.2006 – dzień 10

Ponieważ Glittertind to nie góra dla cieniasów, jak informuje napis 7 godzin w jedną stronę, wstajemy o 6.00 rano, a o 07.30 meldujemy się pod schroniskiem Spiterstulen.

Zapakowanie kasków, kurtek, krótka mobilizacja i w drogę. Zapał skończył się po 15 minutach, kiedy to nasze płuca leżały na ziemi. Droga na szczyt wiedzie stromo pod jedną górę, potem jest wypłaszczenie, dalej znowu stromo, potem prawie pionowo i znowu stromo. Jednym słowem mało wypoczynku na trasie. Po wejściu na pierwszą górę, gdzie dalej było łagodnie, płuca nam wracają do ciała, a serce się stabilizuje.

Jednak jak się człowiek mało rusza na co dzień to potem trzeba cierpieć. Tu troszkę się usprawiedliwiam, bo w końcu Paweł jest ode mnie młodszy . Na wypłaszczeniu tak się luzujemy, że z lekka skręcamy na szlak do schroniska Glitterheim. Dla Norwegów to pewnie wielka różnica, ale dla nas nazwa podobna.

Napotkani wędrowcy kierują nas na właściwy tor, ale wiąże się to znowu (aby się nie cofać), ze stromym podejściem. I tak generalnie było już dalej. Około godziny drogi od szczytu trafia mnie kryzys. Nogi nie chcą iść. Coraz częściej odpoczywam. Ale gdy ponad chmurami widzę szczyt, biorę się w garść i ruszam dalej. Na samej górze masa śniegu i temperatura poniżej zera.

Ciepłej się ubieramy i o 13.30 jesteśmy u celu.



Nawigacja wskazuje 2456 m.n.p.m. Jest mała różnica co do źródeł oficjalnych, ale pewnie da się to jakoś wytłumaczyć. Charakterystyczne wygięcie samego szczytu, które do tej pory widziałem tylko na zdjęciach, stoi przed moimi oczami. Widok niesamowity. Podejście do samej krawędzi jest zbyt niebezpieczne, dlatego zadawałamy się metrem odstępu.

Choć widzę w oczach Pawła, że wolałby dwa. Na szczycie leży kilka metrów śniegu, który z jakiegoś dziwnego powodu zawsze może spaść na dół. Dlatego to takie niebezpieczne, ale i jednocześnie pociągające.

Na szczycie spędzamy około 30 minut. Jest dosyć zimno, a i droga długa przed nami. Wędrujemy na dół. Wszystkie złe demony odeszły i czuję się bardzo dobrze. Po godzinie marszu Paweł ma kłopoty. Buty, w których idzie zaczynają się buntować. Przy wchodzeniu nie było tego czuć, ale przy schodzeniu Paweł boleśnie obciera stopy.

Zatrzymujemy się nad wodospadem gdzie moczymy nogi. Temperatura wody to pewnie 5 stopni, dlatego moczenie trwa 5 sekund. Po 15 minutach odpoczynku walimy dalej na dół. Z czasem Paweł przyzwyczaja się do bólu i spokojnie schodzimy na dół. Pić się chce jak cholera, więc w schronisku kupujemy co się da. Byle zimne i gazowane.

Po odpoczynku odpalamy maszyny i jedziemy do dziadka i jego wodospadu. Wracamy do domku około godziny 21.00. Nic nie jemy tylko do wyra.

Męczący to był dzień.

07.07.2006 – dzień 11

Wstajemy rano, jeszcze pamiętając o dniu wczorajszym. Ale nie czas narzekać, trzeba nawijać kilometry. Dziś w planie lodowiec Jostedalbreen, a konkretnie jego „jęzor” o kolorze zielonym i niebieskim – Nigardsbreen.

Jedziemy drogą nr 55 która w Norwegii jest oznaczona jako droga turystyczna. Faktycznie jest. Niesamowite wjazdy i zjazdy. Raz woda, raz śnieg. Raz ciepło, raz zimno. Niesamowite zróżnicowanie na długości niecałych 200 km. Zimą na tej drodze są kilkumetrowe zasy o po środku czarny asfalt. Polecam każdemu.

Dojeżdżamy do lodowca. Jest on łatwiejszy do zdobycia niż Svartisen. Motorówka 15 minut za 60 NOK w dwie strony od osoby i 30 minut marszu. Nigardsbreen jest u naszych stóp i możemy go dotknąć. Oczywiście nieoficjalnie, bo jakieś 100 m od ściany lodu jest lina z informacją „No entry”. Przeskakujemy linę i zbliżamy się do lodu. Z chwili na chwilę jest coraz większy, z daleka tego nie widać. Dotykając niebieskiego lodu czujemy te miliony ton zamrożonej wody, które jeśli by tylko chciały to spadłyby nam na łby. Jak wariaci wchodzimy między szczeliny, aby jeszcze bliżej zjednać się z górą.

To jednak dodaje sił. Trochę adrenaliny i odczucia są niesamowite. Z pół godziny bratamy się z lodowcem, po czym spokojnie wracamy do maszyn. Wyruszamy w kierunku najpiękniejszego fiordu w Norwegii, jakim bez wątpienia jest Geirangerfjord.

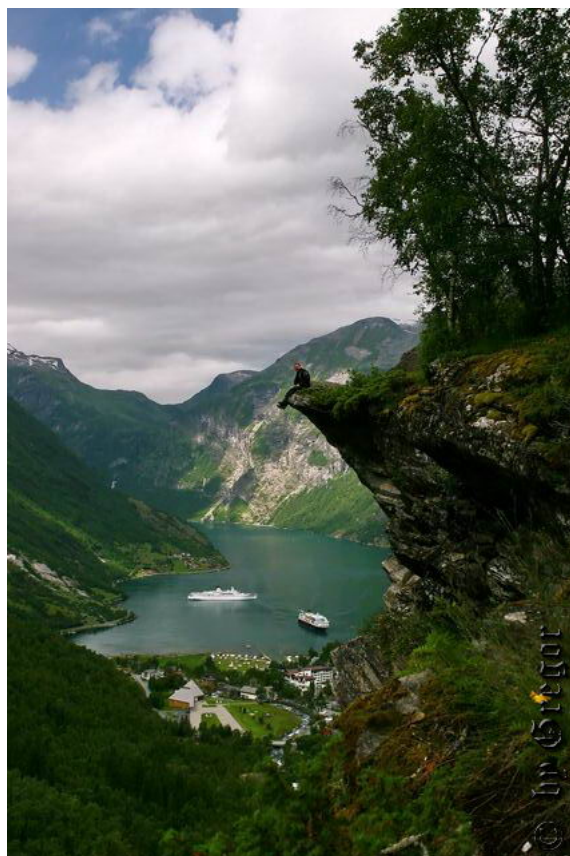
Docieramy około 100 km od miejscowości Geiranger do Strynu. Tam lądujemy na kempingu, gdzie za domek płacimy 190 NOK na głowę. Przejechaliśmy dziś 380 km.

08.07.2006 – dzień 12

Dzisiaj mamy wyjątkowo luźny dzień do przejechania 150 km i podziwianie widoków. Zwijamy się ze Strynu i około południa wjeżdżamy na górę Dalsnibba. Z góry o wysokości 1500 m.n.p.m. rozciąga się przepiękny widok na Geirangerfjord.



Żadne opisy i zdjęcia tego nie oddadzą. Pogoda cudowna, ciepło, przyjemnie a w dole najładniejszy fiord w Norwegii. W oddali widać też „Drogę Orłów”. To stromo pnąca się droga z jedenastoma zakrętami o 180 stopni. Wiele jest takich dróg w Norwegii, ale ta ma swoją nazwę. Trzydzieści kilometrów za „Drogą Orłów” znajduje się „Droga Troli”. To miejsce, które chyba odwiedza każdy kto jest w Norwegii. Widać to po ilości Niemców. Według mnie „Droga Troli” niczym specjalnie się nie wyróżnia a już na pewno jest gorsza od „Drogi Orłów”. Ale to pewnie podobnie jak z przylądkiem Nordkapp, wszyscy tam jadą, choć nie jest to „koniec Europy”. Nie mnie to rozstrzygać. Ustalamy z Pawłem, że wieczorem tam pojedziemy. Spędzamy na Dalsnibbie około godziny. Pstrykamy fotki, oglądamy pamiątki. Po drodze do Geiranger, kilka kilometrów przed, znajduje się kolejne miejsce widokowe na fiord i samo miasteczko Geiranger. Zatrzymujemy się tam i postanawiam znaleźć miejsce, które widziałem na widokówce. Tak już mam i nic na to nie poradzę. Odnajdujemy je i robimy zdjęcia.



Ludzie patrzą na nas jak na wariatów, ale dla mnie warto było.

Kołużemy powoli na kemping w Geiranger. O 15.00 jesteśmy już w domku za 190 NOK od głowy. Spokojnie się rozpakowujemy, jemy obiadek, nawet robimy pranie (mężczyźni też to potrafią). Jedziemy do miasta zrobić jakieś zakupy. Kupujemy coś do jedzenia i jakieś pamiątki. Obowiązkowo trole. Decydujemy z Pawłem trochę zmienić naszą trasę. Konkretnie ostatni odcinek z Oslo do Gdańska. W planie była jazda do Trelleborga, gdzie promem mieliśmy przedostać się do Sassnitz do Niemiec. Tam już mielibyśmy około 600 km do Gdańska. Ponieważ moja opona w przedziwny sposób zaczęła się „kończyć” oraz żeby zaoszczędzić sobie katowania na moto przez Niemcy i pół Polski, zdecydowaliśmy się, że z Oslo pojedziemy do Karlskrony, a stamtąd promem do Gdańska. Po kilku telefonach Lucek załatwiła temat, za co jej bardzo dziękujemy. Później postanawiamy pojechać na „Drogę Trolu”. Jak na złość rozpadał się deszcz. No cóż, czekamy, aż przestanie. Około 22.00 wyruszamy. Jedziemy „Drogą Orłów”, świeci słońce i podziwiamy Geirangerfjord z innej strony. Do „Drogi Trolu” trzeba przedostać się małym promem. I tu niespodziewany „zonk” o 23.00 prom kończy pływać. „Droga Trolu” pozostaje na drugim brzegu. Ja już ją widziałem dwa razy, ale Paweł ma chyba po co wracać do Norwegii. Zawracamy na kemping. Około północy jesteśmy w domku.

09.07.2006 – dzień 13

Kierujemy się dalej na południe. Mamy jeszcze do zdobycia dwa cele. Pierwszy to Preikestolen. Majestatyczna skała wznosząca się 604 metry nad fiordem, oraz Kjerag, kamień, który jest zaklinowany pomiędzy dwiema skałami, a pod nim kilometr do wody. Oba cele są na południu Norwegii, więc nie pozostaje nam nic innego jak jechać. Z Geiranger wyruszyliśmy przed południem, pogoda troszkę się popsła, więc dobrze, że wszystko widzieliśmy wczoraj.

Wspinamy się serpentynami pod górę i zjeżdżamy w dół. Droga nie mija zbyt szybko, bo i szybko nie da się jechać. Zajeżdżamy po drodze do Borgund. W tej miejscowości znajduje się jedyny kościół słupowy w Norwegi, który dotrwał do naszych czasów. Kościół wzniesiono około roku 1150. Widok jest niesamowity.

Wierzyć się nie chce, że ten mały kościół z drewna stoi tu prawie 1000 lat.



Zawracamy na drogę. Przed nami najdłuższy tunel w Norwegii o długości 25 km. Paweł się cieszy więc walimy przez tunel, chociaż droga ponad nim jest ładniejsza. Zresztą tego dnia, jak wyliczył Paweł przejechaliśmy 100 km w tunelach. Dalej wjeżdżamy do Flam skąd dla turystów, głównie niemieckich, wyrusza chyba najbardziej pionowa trasa kolejowa w Norwegii.

Pociąg pnie się powoli pod górę i mozolnie pokonuje ostre zakręty. Jechałem tym pociągiem parę lat temu i muszę stwierdzić, że to najgorzej wydane pieniądze w tym kraju. Robimy sobie pamiątkowe zdjęcia pod marmurową kulą ziemską, która obraca się na wodnej „poduszce”. Niesamowite wrażenie. Na godzinę 19.00 meldujemy się w Voss na kempingu.

Mamy wiele szczęścia, za domek płacimy po 175 NOK, a w środku telewizor. Cudownie, przecież dziś finał Włochy – Francja. Niestety mecz był do dupy, więc zniesmaczeni poszliśmy spać.

Przejechaliśmy dziś 408 km.

10.07.2006 – dzień 14

Przed nami piękny dzień. Świeci słońce, ciepło no i perspektywa wejścia na Preikestolen budzi dobre wibracje. Po drodze na promie spotykamy Belga na przedziwnej konstrukcji zestawie. Jednym słowem Kawasaki ZX12R z koszem.

Ale to nie wszystko. Motocykl jest kompletnie przerobiony, koła ma od samochodu, a układ kierowniczy nie ma widelców tylko sztywną konstrukcję złożoną z wahaczy, przegubów i amortyzatorów. Ale to nie koniec w koszu również swojej konstrukcji są dwa miejsca. Bo zapomniałem dodać, że koleś podróżuje z żoną i dwójką, tak na oko 10 letnich, dzieci. Wygląda to wszystko dosyć dziwnie, ale jednocześnie widać, że nie jest to spawane czy klepane w stodole, a rękę do tego przyłożyli zawodowcy. Krótka rozmowa z gościem i oglądamy zdjęcia, gdzie są w ten sposób przerabiane inne motocykle, a i w zestawie jest kilka wózków bocznych. Jednym słowem – zapaleniec. Koleś należy do „Moto – Club Hussards” z Tubize.



Prom dobija, żegnamy towarzysza podróży i w drogę. Na skałę Preikestolen idzie się z parkingu około 1,5 godziny w jedną stronę.

Do parkingu trzeba dojechać. Ponieważ najbliższy kemping od parkingu nie posiada domków, decydujemy się na inny, oddalony o 20.00 kilometrów. Dojeżdżamy do niego około godziny 17.00.

Rozpakowujemy się, jemy obiad i postanawiamy zdobyć skałę. Patrząc na swoją oponę i nie wierzę. Gdzie ona jest. Punkty kontrolne dawno wytarte, a do domu ponad 1000 km. Siadam jako plecak do Pawła i jedziemy. Dojeżdżamy do parkingu. Płacimy opłatę 25 NOK i możemy iść. Droga nie jest trudna, po Glittertindzie wszystko jest łatwe, więc spokojnie się przemieszczamy.

Dla mnie to już trzeci raz, więc co rusz odzywają wspomnienia. Pogoda śliczna, więc zapowiadają się piękne widoki. Po ponad godzinie marszu docieramy na miejsce. Surowa pionowa ściana wspaniale odcina się od reszty gór. Dookoła błękit nieba, góry poniżej, jakieś 604 metry, zielona woda Lysefjord. Oczywiście trzeba stanąć na końcu i wzrokiem pełnym zadumy rozejrzeć się.

Tak też robimy, co uwieczniają zdjęcia.



Wspinamy się jeszcze wyżej, aby z góry spojrzeć na Preikestolen i cały Lysefjord w dole. Nie sposób opisać tego widoku. Około dwóch godzin spędzamy na górze, po czym odprężeni schodzimy w dół.

Około 23.00 jesteśmy na kempingu, gdzie zażywamy wieczornej kąpieli i idziemy lulu.

Dzisiaj zdobyliśmy skałę i przejechaliśmy 312 km.

11.07.2006 – dzień 15

Dziś trochę mniej jazdy. To dobrze. Zwłaszcza, że martwi mnie dość poważnie moja opona. Jedziemy w kierunku Lysebotn skąd mamy nadzieję wleźć na Kjerag. Po 100 km jazdy dojeżdżamy do kempingu. Bez problemu dostajemy chatkę, dopiero południe, za 125 NOK na łeb. Mamy dużo czasu więc spokojnie się pluskamy, jemy obiad i patrzymy na mocno zachmurzone niebo. Nie pada, ale i tak nic nie będzie widać. Oddajemy się więc rozrywkom intelektualnym w oczekiwaniu na lepszą pogodę. Około 14.00 zapada decyzja. Skoro słońce świeci trzeba nam w drogę. Wsiadamy na maszyny i dojeżdżamy do odległego o 30 km punktu startowego. Przed nami około 2 godziny marszu. Droga na Kjerag jest długa i żmudna. Pod górę i w dół i tak przez cały czas. Co wydaje się już, że gdzieś dochodzimy to znowu trzeba z tego zejść. No, ale w przyrodzie nic nie ginie. Jak się idzie to się dochodzi. Po dwóch godzinach jesteśmy na miejscu. Pogoda się psuje i nadchodzą chmury. Ale jeszcze wszystko widać. Wchodzimy na kamień, Paweł widzi przed oczami całe swoje życie. Kilometrowa przepaść robi wrażenie. Po 15 minutach podziwiania widoków nadchodzi załamanie pogody. W ciągu minuty temperatura spadła o 10 stopni, spadł deszcz. Widoczność spadła do zera. Pamiątkowe zdjęcie nie wyszło najlepiej.



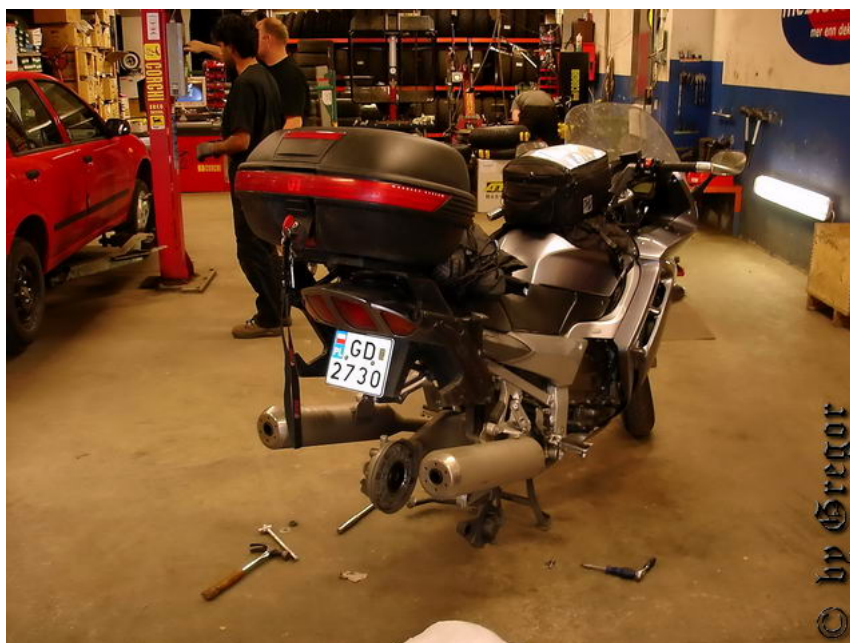
Dla porównania, Kjerag w 2004 roku.



No, ale oczy nacieszyliśmy. Schodzimy w dół. We mgle nie widać żadnych oznaczeń trasy, spotykamy starszych Duńczyków, którzy zgubili drogę. Co jakiś czas mgła znika i wtedy odnajdujemy ledwo widoczne znaki. Droga w dół mija nam w deszczu. Do motocykli dochodzimy zmoczeni jak mopsy, a przecież jeszcze mamy 30 km do kempingu. Nie da się ukryć, że dość przemarznięci lądujemy w domku. Kąpiel, papu i spać.

12.07.2006 – dzień 16

To już końcówka naszego wyjazdu. Przed nami dojazd do Oslo, gdzie mam nadzieję spotkać się z forumowym Kodim. Niestety Kodi bawi w naszym kraju, więc spotkanie trzeba odłożyć. Droga do Oslo niczym specjalnym nas nie zaskoczyła. Jechaliśmy dosyć wolno ze względu na moją oponę. Po drodze w zakładach wulkanizacyjnych szukam opony. Niestety bez rezultatu. Może w Oslo. Około 100 km przed Oslo zaczynają się korki oraz zwiększa się ilość radarów. Nie specjalnie się tym przejmuję i tak jedziemy spokojnie. W Kongsbergu Paweł zauważa na mojej oponie biały pasek. To znak, że guma się skończyła i zaczęło płótno. Nie ma mowy abym dojechał do domu. To jeszcze ponad 700 km. I tu po raz kolejny dziękuję Ci Kodi za uratowanie tematu. Między Drammen a Oslo jest przedstawiciel Pirelli. Kodi dał namiary i po godzinie tam byliśmy. Okazało się, że Kodi jest tam stałym bywalcem i w ogóle wszyscy się lubimy. Szef po krótkich negocjacjach ustalił cenę 2450 NOK za dwie opony z wymianą. Szczęśliwy przystałem na to i zabrałem się do ściągania kół.



Po godzinie byłem szczęśliwym posiadaczem nowych Pirelli Diablo Starada. Od razu wrócił mi humor. Znowu jestem w siodle. Jedziemy znaleźć jakieś spanko w Oslo i trochę

zwiedzimy to miasto. Spanie znajdujemy pod skocznia Holmenkollen, gdzie w recepcji urzędowała polka i dała nam domek za 195 NOK od głowy i sprzedała trochę taniej piwo. Pogawędziliśmy trochę w ojczystym języku o Polakach w Oslo, po czym się doprowadziliśmy do porządku po przebytej drodze.

Okolo 19.00 wsiedliśmy bez bagaży na maszyny o pojechaliśmy coś zobaczyć. Oslo obejrzelismy z motocykli poza parkiem Vigeland. Jest to największy park w Oslo, gdzie mieszkańcy spędzają swój wolny czas. Można tu spotkać ludzi grających w piłkę jak i wyprawiających urodziny. W parku znajduje się ponad 200 rzeźb, które przedstawiają nagich ludzi w różnych pozycjach, układach i konstelacjach. Nie są to jednak rzeźby erotyczne. Większość symbolizuje kolejne stadia życia, czy też jego przemijanie. Paweł popstrykał kilka zdjęć i postanowiliśmy coś zjeść.

Kodi mi mawiał, że kto jest w Oslo musi zjeść kebab. A jak kebab to tylko u Pakistańczyków. Jedziemy do dzielnicy Gronland, gdzie cudzoziemców nie brakuje. Jak Kodi powiedział mi, tak ja to przekazałem Pawłowi. Zamawiam u Pakistańczyka kebaba dla Pawła. Very big, very spice. Za 60 NOK Paweł okazał swoje zadowolenie.

Po posiłku wracamy pod skocznia. To był długi dzień (ze względu na moją oponę), ale dobrze się skończył.

Nawinęliśmy 415 km.

13.07.2006 – dzień 17

I to już ostatni dzień w Norwegii. Do Karlskrony mamy około 700 km. Na promie powinniśmy się zameldować około godziny 20.00. Wypłynięcie o 21.00. Wyliczamy sobie, że musimy wyjechać około 11.00, aby bezstresowo dojechać. Tak też robimy, pakowanie, śniadanie i w drogę.

Lecimy autostradą przez Norwegię. Tak koło 140 km/h, prędkość dozwolona to 90 km/h. Na cholerę im te autostrady? Trochę przyspieszam i Paweł znika mi w lusterkach. A ten co? Myślę sobie. Na wczasy przyjechał? Na ręcznym jedzie? Zwalniam, Paweł zrównuje się ze mną i w języku motocyklistów pytam go, co się dzieje? Paweł, że luz i wszystko gra. No to heja. Na budziku 160 km/h, a Pawła znowu nie ma. Myślę, no trudno, może w szoku. Nagle słyszę telefon. Paweł dzwoni. Myślę, a ten co, leci 80 km/h i dzwoni.

Zatrzymuję się i odbieram telefon. „Złapałem kaptur” – słyszę w słuchawce. Już jadę, czekaj – mówię. Odkładam telefon i myślę. Co teraz? Skąd ja na autostradzie znajdę wulkanizację? Jadę do najbliższego zjazdu, około 10 km, na stację Shella. Stoi dwóch gości w strojach roboczych, pewnie nie turyści. Pytam, gdzie jest wulkanizacja? Coś mamrocza w swoim języku i każą jechać za sobą.

Zawracamy na autostradę w stronę Pawła. To dobry znak – myślę. Jedziemy ze 20 km i dojeżdżamy do wulkanizacji dla tirów. Dziękuję grzecznie i jadę do Pawła. Okazało się, że od Pawła do warsztatu mamy około 4 km. Paweł czeka na poboczu, tiry wała, zdziwiło mnie, że nie zatrzymał się żaden motocyklista. Zazwyczaj w takich sytuacjach sobie nawzajem pomagamy. No, ale pewnie to byli Niemcy, a oni nie łamią przepisów, a na autostradzie jest zakaz zatrzymywania.

Podjeżdżam, ściągamy kufry, moto na centrala i do roboty. Błogosławiony dzień, w którym zdecydowałem o zabraniu ze sobą zestawu kluczy do zdjęcia kół. Zdjęcie koła moment, 10 minut. Od mojej FJR-y również odczepiam kufry i kładę je na pobocze. Dobrze, że to nie Polska – myślę. U nas pewnie by rąbnęli kufry i moto bez kół. Paweł z kołem pod pachą wsiada jako plecak i jedziemy do wulkanizacji. Szybka rozmowa i koleś stwierdza, że nam

pomoże, ale za 15 minut, bo akurat ma przerwę. Grzecznie czekamy. Po przerwie zapala papierosa i gada z 10 minut przez telefon. Myślę z niepokojem o jednokołowym motocyklu i kufrach porzuconych gdzieś przy autostradzie.

Po chwili przyjeżdża 5 innych pracowników. Szef mówi, że trzeba zrobić koło w moto. Jakiś inny koło bierze nasze koło i ogląda, sapie myśli, dyskutuje. Nie wiem o czym bo po norwesku, ale brzmi to jak „o co tu chodzi”. W końcu wrzuca koło na maszynę i opona zdjęta. Podchodzą wszyscy, gadają i szef podchodzi i mówi „ta opona jest zła, trzeba nową, mam taką za 1600 NOK”. Oglądam oponę i widzę lekkie przytarcia od felgi, Paweł na flaku chwilę jechał, no ale nie róbmy z tego legendy. Mówię do niego „u nas w Polsce taka opona jest dobra. Robić”. Koleś nie chce dać za wygraną, ale w końcu musi odpuścić. Sapacz bierze oponę i drapie gumę od środka, smaruje klejem, łątką, pompowanie i możemy ruszać w drogę powrotną.

Patrzę daleko przed siebie, jednokołowa FJR-a stoi, podjeżdżamy bliżej, kufry są. Uff dobrze, że to porządny kraj. Montujemy koło. Prawie 2 godziny poszły na akcję. No cóż będziemy musieli dodać gazu. Dalsza droga przebiega bez zakłóceń. Średnia 160 km/h i o godzinie 19.00 meldujemy się w Karlskronie w McDonald's. Szamujemy bezpłciowego Big Maca i kołujemy na prom.

Tu czeka na nas M/S Stena Baltica wraz ze specjalnymi miejscami dla motocykli. Montaż trwa 5 minut, pan Jacek z obsługi sprawdza czy wszystko gra i idziemy do kajuty. Koło nas stoją zaparkowane 4 przecinaki na szwedzkich blachach. Spotykamy właścicieli przy recepcji. Jadą do Niemiec na tor się ścigać. Krótka wymiana zdań i czas się wykapać, wszak przejechaliśmy 700 km i naprawiliśmy oponę. Kabina rozczarowuje. To nie to samo co DeLux. Nora z piętrowym łóżkiem i łazienką. Koszt promu to 440 PLN na głowę z motocyklem. Szybka toaleta i idziemy się napić polskiego piwa. Wypijamy kilka, po czym w jednorękiego bandytę wygrywamy kasę na wino. Wybieramy amerykańskie „Paul Masson” i również je spożywamy.

Okolo północy kładziemy się spać. O 06.00 rano kapitan budzi nas słowami, że za godzinę będziemy w Gdyni, a sklep będzie czynny do 07.00. Paweł trochę nerwowo zareagował na pobudkę, to pewnie efekt zjedzenia Big Maca. O 07.00 dobijamy do Gdyni skąd jedziemy na śniadanie do mnie do domu. Wskazujemy jeszcze Szwedom najlepszą drogę do Niemiec i już walimy 200 km/h po obwodnicy Trójmiasta. W domu Lucek przywitał nas

jajecznica. Krótkie przepakowanie kufrów i Paweł, już samotnie, udaje się w drogę do Warszawy.

To chyba tyle w skrócie, co można napisać o tej wyprawie. Zrobiliśmy około 8000 kilometrów. Nie będę się rozpisywał na temat kosztów, bo u każdego to wygląda inaczej. Z opisu wynika mniej więcej ile trzeba wydać na noclegi, na jedzenie naprawdę mało wydaliśmy, bo mieliśmy je z sobą. Co do paliwa to w Norwegii średnio kosztuje 12 NOK, w Szwecji 12 SEK, a w Finlandii 1,40 Euro. Kalkulatory w dłoń i każdy będzie wszystko wiedział.